

ADAM SKALSKI

OGNIWO
VAN
HOORTA

Ogniwo van Hoorta

ADAM SKALSKI

OGNIWO
VAN
HOORTA

Copyright © Adam Skalski, 2024
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Dawid Wiktorski
Beata Wojciechowska-Dudek

Korekta

Matylda Zatorska

Skład i projekt okładki

Adam Skalski

Wydanie I

Warszawa, 2024

ISBN: 978-83-970238-0-2 (druk)

ISBN: 978-83-970238-1-9 (epub)

ISBN: 978-83-970238-2-6 (pdf)



www.ogniwovanhoorta.com

[Youtube: Ogniw van Hoorta](https://www.youtube.com/OgniwovanHoorta)

autor@ogniwovanhoorta.com

Spis treści

Dedykacja	6
Podziękowania	7
Prolog	8
I	19
II	31
Przypisy	42

Mariannie, Anastazji i Marcie

Podziękowania

W 1998 roku, tuż po ukończeniu pracy nad grą komputerową „*Pyl*”, grupa deweloperska złożona z Michała Meisera, Adama Skalskiego, Jarosława Świerczka i Tomasza Włodarka poszukiwała pomysłów do nowego projektu nazwanego roboczo „Ogniwo Kleinmanna”. Gra nigdy nie powstała, ale koncepcja ogniwa stała się punktem wyjścia do napisania tej historii. Książka jest hołdem dla naszej wspólnej pracy i planów, których nie udało się zrealizować ćwierć wieku temu. Jestem Wam bardzo wdzięczny.

Dziękuję Marcie, mojej żonie, za wsparcie. Za to, że pozwoliła mi poświęcić długie godziny na pracę nad tekstem kosztem innych obowiązków. Dziękuję jej za pomoc w wyszukiwaniu informacji w domenie francuskiej i za to, że była zmuszona czytać pierwszą wersję tej historii.

Z tego samego powodu dziękuję wszystkim, którzy zdołali przebrnąć przez tekst na różnych etapach jego powstawania i podzielili się ze mną swoimi uwagami: Michałowi Meiserowi, Izabeli Wolskiej, Bożenie Kamińskiej.

Podziękowania należą się recenzentce pierwszej wersji, pani Beacie Wojciechowskiej-Dudek, a przede wszystkim panu Dawidowi Wiktorskiemu i Matyldzie Zatorskiej, którzy włożyli mnóstwo pracy redaktorskiej i korektorskiej, aby doprowadzić tekst do momentu, kiedy można było go bez wstydu opublikować.

Specjalne podziękowania kieruję do Marca Vanleeuw, naszego drogiego wujka, który użyczył swojego wyjątkowego głosu do produkcji trailera. *Merci, Marc!*

Chciałbym także wyrazić głęboką wdzięczność moim wspaniałym rodzicom, którzy nauczyli mnie patrzeć z dumą na, czasem nieporadne, poczynania swoich dzieci.

Prolog

Paryż, 1871

– Pilnować się...! – Sierżant splunął przez zęby. W ustach mielił tytoń.
– Żeby wam kto łba nie odstrzelił!

Dzdzżyło już od dobrej godziny, zanim dotarli do placu Vendôme. Po drodze minęli gmachy obrócone w gruzy, pałac Tuileries wypalony do gołych murów. Buntownicy nie oszczędzili nawet ratusza.

Chmura ciemnego dymu wisiała nad miastem od wielu dni, ledwie przepuszczając światło. Słońce przebijało się tylko bladą plamą, tak mizerną, że dało się patrzeć na nią bez mrużenia oczu. Żołnierze uginali karki, chowali głowy w ramiona – jakby sine, ciężkie niebo i cały ten brud spadający z deszczem przygniatały ich do ziemi.

Opuszczoną ulicę, która prowadziła do placu, zamykała barykada wznieciona z pozrywanych brukowych kostek. Sięgała wysoko ponad głowy ludzi z oddziału sierżanta Merciera. Spopielone kawałki drewna, które kiedyś były stołem, kredensem albo fortepianem, ułożono obok, na niewielkim stosie. Musiał służyć buntownikom za prowizoryczną kuchnię. Wszędzie wałyły się skorupy po fiaskach, blaszane naczynia, kości ogryzione do czysta.

Między strzaskanymi kołami, wielkimi jak młyńskie żarna, leżał na wpół zatopiony w błocie kawał szarego żeliwa. Musiał być jedną z tych armat, które stały się przyczyną rebelii. Najwyraźniej buntownicy nie mogli jej stąd ruszyć. Mówiono, że wszystkie konie w wygłodzonym mieście dawno podzieliły los psów, kotów, a nawet ptaków, jeśli te nie zdążyły odlecieć. Pewnie stąd ta cisza.

Sierżant ściągnął czerwone kepi i ostrożnie wyjrzał zza barykady. Stał chwilę bez ruchu, potem wycofał się i przetarł rękawem czoło.

– Żywego ducha...

Postanowili, że podzielą się na dwa zastępy i każdy pójdzie wzdłuż przeciwnych stron placu. Jeśli dostaną się pod ogień buntowników, będą mieli jakieś szanse przebić się do gmachu opery, trzy przecznice dalej. Tam mieli spotkać się z drugim oddziałem, który szedł od zachodu. Sprawdzili, czy papierowe gilzy naboju nie namokły, założyli bagnety na chassepoty¹ i, przygarbieni, wyszli zza barykady.

Roger – awansowany na kaprała, bo jak mało który w oddziale znał okolicę i miał głowę na karku – prowadził drugi zastęp wzdłuż kamienic po zachodniej stronie placu, o fasadach podziurawionych kulami jak sito. Nie mógł uwierzyć, jak straszliwie upadło to miasto. Miasto, które jeszcze zeszłego lata tętniło życiem, rosło na potęgę, żegnało go kwiatami i śpiewem.

Zeszłego lata...

Kto mógł się spodziewać klęski po niecałym roku? Zbuntowany Paryż – najpierw sponiewierany pruskim oblężeniem, teraz brany siłą przez wojska nowego reżimu.

Na Boga, o co tu się bić? Aż nie zostanie kamień na kamieniu?

Strzał poniósł się echem po pustym kwartale. Przywarli do ściany najbliższego domu. To samo zrobiła drużyna po przeciwnej stronie placu. Roger wychylił się i spojrzął na swoich. Żaden nie padł, żaden nie zawodził, nie miał świeżej rany. Strzelec musiał się przyczołgać za daleko.

Czekali.

Uciekł? Odsuścił?

Drugi strzał. Zaraz potem krzyk z naprzeciwka i salwa drużyny Merciera. Roger już wiedział – ktoś strzelał po jego stronie. Spojrzął w górę. Wprost nad sobą, na wysokości owalnej lukarny, dostrzegł biały kłębek dymu. Pomyślał, że tylko głupiec mógł otworzyć ogień, stojąc tuż przy oknie.

Wskazał drużynie najbliższą bramę. Zaczęli napierać i tłuc kolbami.

Kolejny huk.

Cierpliwości...

Mercier chyba miał dosyć wystawiania się na ostrzał. Kazał swoim biec zakosami na środek placu, do potężnej kolumny, z której został tylko wysoki cokół i stos gruzu rozrzucony po ziemi.

Ryzykuje...

Roger zmrużył oczy. Wpatrywał się w okna po drugiej stronie kwartału.

Nic... Żadnego ruchu. Żadnego dymu. W ciemnych oknach – czy-
sto. Mercier miał szczęście. Strzelec musiał być sam. Desperat albo ja-
kiś młokos.

– Pułapka!!!

Za plecami sierżanta, na piętrze, otwarto naraz cztery okiennice.
Chmura zasnęła wysokie okna. Po placu przetoczyło się echo wystrzałów.
Kilku chłopaków Merciera padło na ziemię. Podniósł się krzyk, dalekie
larum rozkazów rzucanych gromkim głosem.

Kapral złożył się i wypalił w okna buntowników. Za nim poszli pozo-
stali. Kazał dwóm ludziom dalej walić w drzwi, całej reszcie – przeładować
i strzelać bez rozkazu.

Brama w końcu puściła, żołnierze zaczęli kolejno wlewać się do środka.
Na pierwszej i drugiej kondygnacji nie znaleźli nikogo. Roger rozstawił
swoich i kazał razić w okna, żeby dać ludziom sierżanta szansę na ściągnię-
cie rannych. Sam ruszył na poddasze.

Starął się ostrożnie stąpać po drewnianych schodach, choć był pewien,
że strzelec, jeśli tylko usłyszał tumult na dole, musiał spodziewać się, że
go znajdą. Albo już dawno go tam nie było. Roger sam by tak zrobił –
zapewnił sobie bezpieczny odwrót i wycofał się, jeśli plan by się powiódł.

Musiał ostrożnie manewrować pomiędzy ścianą a balustradą, żeby nie
zahaczyć o coś długim bayonetem. Chassepot – dobra broń, ale nie w tak
ciasnym wnętrzu. Stanął przed zamkniętymi drzwiami u zwieńczenia
schodów. Przeżegnał się i kopnął z całej siły.

Ustały z trzaskiem zerwanego skobla, odbiły się i na powrót lekko
przymknęły. Nie nastąpił żaden atak, nie rozległ się żaden dźwięk poza
głuchym hukiem wystrzałów na zewnątrz. Tylko drobinki kurzu wirowa-
ły delikatnie w bladej smudze światła, która padała z otwartego okna.
Końcem bagnetu uchylił drzwi i powoli wszedł do środka.

Wąskie łóżko na żeliwnej ramie, prosta komódka, drewniany zydeł
i miednica – chyba wszystko. Pokój służby. Na deskach podłogi dojrzał
błyszczące odbicie. Przykucnął i wyciągnął rękę, nie przestając lustrować
wnętrza. Krew. Świeża. Niewiele...

Drzwi sypnęły drzazgami, kiedy kula strąciła mu kepi. Potem wyrznę-
ły go w plecy z taką siłą, że padł na podłogę i potoczył się aż pod samo
łóżko. Wypadł zza nich barczysty typ – ogorzały, zarośnięty, z burzą kru-
czoczarnych włosów. Bez ostrzeżenia zamachnął się trzymanym za lufę

karabinem. Huknęło, aż Rogerowi zadzwoniło w uszach. Poleciały wióry – Kudłaty nie wymierzył dobrze i grzmotnął końcem kolby w ramę łóżka.

– Czego tu?! Wersalskie psy!

Roger kopnął go podkutym butem w piszczel, zanim tamten zdążył wziąć kolejny zamach. Potem skoczył i obydwaj potoczyli się pod przeciwległą ścianę. Kudłaty złapał go w pasie szerokimi ramionami, a Roger z całych sił chwycił oburącz za szyję tak szeroką, że ledwie był w stanie objąć ją dłońmi.

Przewalali się po całym pokoju. Zydell, potem metalowe naczynia i drewniany krucyfiks runęły na podłogę razem z komódką. Twarze stężyły, nabrzmiałe żyły wystąpiły pod skórą. Kudłaty stalową pętlą ramion mocno oplótł żołnierza, tak że żebra chyba przebiły mu płuca. Za to Roger rozpaczliwie próbował wcisnąć grdykę buntownika w głąb szyi.

– Coście zrobili... z moim miastem...?! – wystękał kapral. Gęsta ślina skapywała mu spomiędzy zaciśniętych zębów. – Wszędzie... jedno piekło...! – Łzy napłynęły do oczu, obraz zaszedł mgłą. Zrozumiał, że długo nie wytrzyma. Że ulegnie, przegra z tym człowiekiem, który jeszcze zeszłego lata mógł go żegnać gdzieś tu, na placu Vendôme. Mógł go mijać w Les Halles, kiedy ten roznosił owoce. Mógł być węglarzem albo latarnikiem w jego okolicy.

Czy po to ledwie uszedł z życiem? Bił się z Prusakami pod Sedanem? Po to cierpiał niewolę? Żeby teraz skonać w Paryżu? Na strychu? Z ręki innego Francuza?!

Dobrze wiedział, że jeśli wypuści powietrze, nie nabierze już oddechu. Prawie oślepl. Przestał już widzieć cokolwiek poza błękitnymi rozbłyskami w czerni.

Nie! Nie w ten sposób!

Czuł, jak w środku wszystko kipi. Jak buntuje się każda cząstka.

Wygiął się do tyłu najmocniej, jak potrafił. A potem wypuścił resztę powietrza i z całych sił wyrznął czołem w nos Kudłacza.

Stalowy uścisk zelżał. Roger chwycił łączywie powietrze i zwłókl się z ciała rebelianta. Odpełzył niezdarnie na drugi koniec izby, oparł się o przewróconą komodę. Ogień palił w piersiach. Błagał w myślach o chwilę wytchnienia.

– Piekło... – Usłyszał charkot. – Co... Co ty wiesz o piekle...?!

W głosie tamtego była tylko skarga. Może jeszcze nuta zmęczenia, rezygnacji, która tak bardzo nie pasowała do ogromnego człowieka.

– Starczy już... Niech się wreszcie skończy... Dosyć dyktatu...

Siedział pod ścianą, trzymał się za szyję i ciężko sapał. Krew z rozbitego nosa lała się na usta. Przetarł twarz rękawem – kolejny ślad na brudnej koszuli. Druga ręka spoczywała na karabinie z obtupaną kolbą.

– Przecież nie ma cesarza... Napoleon² abdykował. – Roger zdobył się na wysiłek i usiadł. Macał podłogę w poszukiwaniu swojej broni, ale ręka trafiła jedynie na czerwone kepi. Podniósł je do oczu, błędnym wzrokiem spojrzął na dziurę po kuli, po czym założył niezdarne na głowę. – Nastała... Trzecia Republika...

– Republika... – Tamten zarechotał szyderczo, ale za chwilę jego głośny śmiech zaczął przypominać szloch. Pociągnął nosem. – Nim się obejrzysz... skończy równie prędko jak dwie poprzednie. – Dźwignął się niepewnie, podpierając ciało karabinem. Skrzywił się z bólu albo wściekłości. – Zawsze tak było. Zawsze...! Wróci cesarz, wróci monarchia. Wszystko jedno... Nic się nie zmieni. Nic, bracie!

Porzucony chassepot leżał przy łóżku. Kapral podszedł powoli na czworakach i postawił go sztorcem na kolbie. Potem wspiął się po nim, chwytając też żeliwną ramę posłania. Obydwaj wiedzieli, że broń nie zdążyła wypalić, u końca lufy błyszczało półmetrowe ostrze. Kudłaty stał wciąż pod ścianą, wsparty na swoim karabinie, i patrzył spode łba na Rogera.

– Więcej wiary... – Kapral poprawił kepi i ruszył w kierunku drzwi, ale zatrzymał się jeszcze i obrócił głowę. – Więcej wiary, bracie. Niech żyje wolna Francja.

– Jaka Francja...? – rzucił cicho tamten, zanim Roger wyszedł.

Cierpiał, mimo że starał się bardzo powoli wciągać powietrze. Schodził pomału, wolną ręką macał po korpusie za bolącym miejscem. Zaklął. Żebra puściły, był tego pewien. Już tego doświadczył. Czekał go miesiąc w bólu, jak nie więcej.

Na dole wstrzymano ostrzał. Najwyraźniej rebelianci po drugiej stronie placu polegali albo zdążyli się wycofać. Ludzie pozostawieni w bramie pomagali ściągać rannych sierżanta. Reszta obserwowała okna. Kiedy usłyszeli Rogera, obrócili się i wymierzili bagnety. Pokręcił głową na znak, że z tamtym koniec. Załatwił sprawę.

Potem minął ich bez słowa.

Szli we dwójkę, związani powrozem, środkiem opustoszałej, pokrytej szarym pyłem ulicy La Fayette. Przezornie spętano ich też w kostkach. Tylko dlatego zdecydowano się przydzielić eskortę samotnemu strażnikowi – prostemu chłopu rodem z Bretanii.

Żołnierz się rozglądał. Nie był pewny, czy wybrał dobry kierunek. Sprawiał wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu zobaczył domy wyrosłe nad stodołę. Za nic nie chciał wypytywać jeńców o drogę – gotowi jeszcze pomyśleć, że będzie im coś winien albo wywiodą go w pole. O nie! Loïc nie był głupcem!

Lecz ani na zasłanej gruzem ulicy, ani w zamkniętych na głucho kamienicach nie widział śladu życia. Wojska nowej Republiki wyparły buntowników do wschodnich dzielnic. Razem z nimi uciekli mieszkańcy. Zresztą... Trudno było rozpoznać, kto jest gwardystą, a kto zwykłym obywatelem – walczyły nawet kobiety.

Nie więcej jak sto kroków dalej zza rogu kamienicy wyszła przygarbiona postać z karabinem przewieszonym przez ramię. Loïc zmrużył oczy – rozpoznał czerwone spodnie i kepi. Tamten szedł powoli i minąłby ich bez słowa, gdyby Loïc, salutując, nie zagadał z bretońskim akcentem:

– Opera gdzie jest, panie kapralu?

Roger odwrócił głowę i z wyraźnym trudem podniósł rękę. Wskazał za siebie, wzdłuż ulicy.

– Prosto tą drogą, żołnierzu...

Kiedy felczer potwierdził złamanie dwóch żeber, a Mercier z oddziałem ruszył z ofensywą do wschodnich dzielnic, kapral i reszta rannych rozlokowali się w budynku opery, żeby wspomóc obronę. Zamiast tego Roger został świadkiem przesłuchań. Skowyt maltretowanych w podziemiach jeńców rozsadał mu głowę. Wyszedł stamtąd przy pierwszej okazji, byle nie brać udziału w tej kaźni.

Minął konwój i ruszył dalej, do kościoła Świętego Wincenta, z rozkazami dla porucznika Moreau. Oprawcy wraz z duszą musieli wycisnąć zeznanie z jakiegos nieszczęśnika. Należało czym prędzej posłać oddział do dziewiętnastej dzielnicy. Gdzieś w Danube znów jakiś Polak³ – diabli nadali! – postawił fabryczkę nitrogliceryny, którą gwardyjscy *dynamiteurs* siali spustoszenie.

– Jak twoja wiara... bracie?

– Cisza mie tu! – Loïc szturchnął jeńca kolbą. Granatowe kepi z czerwono-złotym otokiem spadło na ziemię i odsłoniło burzę skołtunionych włosów.

– Stój, żołnierzu! – warknął kapral i przyjrzał się opuchniętej twarzy Kudłacza; złamany nos nie był jedyną skazą. Gdyby tamten milczał, Roger pewnie by go nie rozpoznał. Wszyscy brani w niewolę byli tak samo brudni, obdarci i zapuszczeni. Z maską biernej rezygnacji na twarzy. Koniec nadziei. Koniec złudzeń. Umrą. Już umarli.

– Rozkuć go!

Loïc stał z rozdziawioną gębą. Najwyraźniej nie zrozumiał słów kaprala. Tylko oczy biegały mu to w prawo, to w lewo, jakby szukał wsparcia.

– Z szacunkiem... Rozkaz mam, do opery prowadzić...

– Rozkuć, mówię! To nasz człowiek!

– Kiedy nie mogiem... Tu, rozkaz mam... – Oparł karabin o przewróconą dorożkę i sięgnął za poletę munduru. Wydobył zwitek papieru i podał kapralowi.

– Z opery idę, dla nas ten więzień. – Roger tylko zerknął na świstek i oddał go Bretończykowi. Dałby głowę, że ten analfabeta nie wiedział nawet, co tam napisano.

Loïc poskładał papier z namaszczeniem i schował za pazuchą. Małe oczka zwęziły mu się w szparki – coś się pan kapral za bardzo z gwardyjski mi brata... Może śpieg albo przebieraniec jaki? Kto go tam wie...?

– Rozkaz od kapitana mam, dwóch tych łotrów doprowadzić. Wszystko mam spisane! – odparł hardo, pukając się paluchem w pierś, w miejsce, gdzie przed chwilą wsunął papier.

Roger czuł, jak rośnie w nim gniew. Nie miał ochoty dłużej się handryczyć. Ściągnął chassepota z ramienia.

– Zróbże wreszcie, kmiocie, o com prosił, jeśli chcesz jeszcze kiedy chędożyć! – wycedził, celując bagnetem w przyrodzenie Bretończyka.

Szczęka Loïca wysunęła się powoli naprzód. Niedoczekanie! Nie będzie mu ten mieszczech... ten burżuj... w kaszę pluł!

Już sięgał po karabin, kiedy drugi z więźniów – chuchro, na oko młodszy od Kudłacza – zarzucił mu na szyję powróż, którym był spętany, i pociągnął z całej siły. Loïc wciąż trzymał jedną rękę wyciągniętą w stronę broni, jakby ta mogła go jeszcze wyratować. Drugą chwycił za sznur

ściskający gardło. Szamotał się i stękał. Poczzerwieniał na twarzy. Wreszcie szarpnął do przodu, wyteżając kark, żeby zaciągnąć napastnika na plecy i przerzucić przez głowę.

Był człowiekiem twardym, żyjącym z roli. W chudych latach nie raz, kiedy zabrakło konia czy wołu, zdarzało mu się zarzucać chomąto na barki i orać ziemię samemu. Ale to nic nie dało – uwiązany jednym sznurem Kudłacz ważył swoje. Nie rzucił się na strażnika, bo i nie musiał. Zaparł się bosymi stopami i ze wszystkich sił ciągnął w drugą stronę.

Roger patrzył na to wszystko skamieniały. Nie tak miały potoczyć się sprawy.

– Oduść!

Nie wiadomo dla kogo był ten rozkaz; czy tamci mieli zaniechać, czy Bretończyk unieść ręce i poddać się woli kaprała.

– Oduść, mówię!

Nikt nie posłuchał, nic się nie zmieniło. Loïc opadł z sił i osunął się na kolana. Napuchły język wyszedł spomiędzy zsiniałych ust. Patrzył w górę wybałuszonymi ślepiami z mieszaniną zdziwienia i śmiertelnej trwogi.

Coś płynęło po niebie w zupełnej ciszy. Ciemna plama wyprana z kolorów. Raz wyraźna, okrągła niczym negatyw tarczy księżycowej w pełni, za chwilę przysłaniały ją dymy.

Bezskrzydły anioł... Czarna gwiazda...

Skradała się do słonecznej tarczy, drgając jak wszystko dookoła w mokrych, gasnących oczach Loïca. Tylko on widział.

Czarny anioł przesłonił blade słońce. Nawet nie ściemniało. Nie stało się nic. Odplynął. Zniknął za dachami kamienic. Jakby Niebu było zupełnie obojętne, co się wyrabia tam na dole. Wszystko trwało chwilę, Loïc nie zdążyłby nawet odmówić pacierza.

– Dość! Dość! Dość! – Roger przystąpił z chassepotem. Nie mógł dłużej znieść lęku w oczach Bretończyka. Ciało zwały się na zakurzony trotuar, szkarłatna kałuża rozlała, by myszkować pomiędzy kostkami bruku. Rzucił karabin. Ściągnął pętlę z szyi Loïca i posadził bezwładne ciało na ziemi.

– Zbudź się!

Bił na odlew po ogorzalej gębie, raz i drugi.

– Zbudź się, bydlaku!

Bił dalej, coraz mocniej.

– Dalej! Stawaj!!!

Aż nagle przestał, zdyszany.

– Stawaj, mówię...

To już nie był rozkaz. Bardziej prośba, jakby chciał go przekonać, że nie ma w nim gniewu. Że puszcza w niepamięć jego tępy upór.

W końcu dotarło do niego, że robi to na próżno. Ręce i głowa Bretończyka zwieszały się bezwładnie. Ciało nie dawało znaku życia.

Roger spojrzął w górę i zawył przez ściśnięte zęby. A potem przywarł czołem do czoła Loïca.

– Wybacz... – Zacisnął powieki. – Wybacz, żołnierzu... – Położył go ostrożnie na boku. Pod Bretończykiem leżał więzień. Oddech miał krótki i płytki, jakby bał się zaczerpnąć powietrza. Trzymał się za rozdarty brzuch, krew uderzała falami. Kiedy ją poczuł, kiedy zobaczył swoje ręce, zaczął łkać i zawodzić.

– Na rany! Czemuś go napadł?! Czemu...?! – Roger podniósł karabin. Ciemne krople spływały po bagnecie.

– Co miał robić?! – warknął Kudłacz. – O życie walczył! – Zdarł z siebie potarganą koszulę, ukląkł i przyłożył ją młodemu do brzucha; w jednej chwili nabiegła czerwienia. Mówił do niego cicho, może słowa otuchy, może nawet szeptał modlitwę. Tamten patrzył wielkimi oczami. Łowił słowa: że jest nadzieja, że nic nieprzesądzone...

Potem zaczął się krztusić, trząść, panicznie łapać powietrze. Krwawa piana wypłynęła na spierzchnięte wargi. Wył, czuł, jak zbliża się koniec, a Kudłacz mówił do niego coraz głośniej i głośniej, jakby chciał zagłuszyć strach, który uchodził z tamtego razem z życiem.

Roger nie wiedział, jak długo to trwało – zacisnął powieki, uszy zakrył dłońmi. Chyba sam zaczął krzyczeć.

Kiedy młody znieruchomiał, Kudłacz położył jego głowę na bruku i zasłonił oczy.

– I tak czekał nas kres... – Wciąż klęczał, pochylony nad ciałem.

Choćby nawet nie chciał, Roger musiał przyznać mu rację.

– Jeśli jest prawda, co mówią... – Kudłacz popatrzył spode łba, potem machnął w stronę, z której przyszedł kapral. – Będę ci dłużny, jeśli sprawisz się ze mną prędko... Tu, na miejscu.

Roger podbiegł i z całej siły grzmotnął go w głowę.

– Dosyć...! Dosyć, mówię!!! – wydarł się nad leżącymi ciałami. Schylił się i złapał rebelianta za kudły. – Nikt więcej nie zemrze! Pojmujesz?!

– ryknął prosto w napuchłą twarz. – Pojmujesz, co mówię?! – Rzucił go z powrotem na ziemię. Ściągnął bagnet z karabinu i porozcinał więzy. Tamten zebrał się na kolana, roztarł nadgarstki i naprostował szczękę. Popatrzył na Rogera błędnym wzrokiem.

– Co mi po twojej łasce? Stu kroków nie ujdę i pożegnaj się z życiem. – Splunął krwawą flegmą.

Nie mylił się. Każdy, kogo napotkało wojsko – nieważne czy młokos, czy stetryczały starzec – kończył z kulą w piersi. Cóż dopiero on?

– Wdziękaj mundur...! – Roger wskazał zwłoki Loïca. – Żywo!

Chwilę trwało, zanim Kudłacz zrozumiał, o co mu chodzi. I następną, zanim się przemógł i zaczął niechętnie ściągać z Bretończyka sfatygowany płaszcz i czerwone portki. Leżały nadspodziewanie dobrze. W tym czasie Roger rozglądał się, czy ktoś nie nadchodzi. Nie chciał patrzeć na zbruka-
ne zwłoki żołnierza.

Jakaś spracowana, pulchna Gwen – z dajmy na to Carnoët czy innego Ploéven – gdzieś tam będzie wypatrywać wraz z dzieciarnią powrotu męża. Nigdy się nie dowiedzą, gdzie leży, jaki los go spotkał. Przez jakiś czas będą jeszcze żyć nadzieją, że może w niewoli... Może tego niezdrows...? Albo zniknął rozmyślnie i żyje gdzieś, łobuz, z inną. Nie wiedzieć, co gorsze.

– Jak cię zwą?

– Albert.

– A dalej?

– Wołają mnie Vailland...

– Vailland⁴? Żeś, niby, taki dzielny, he?! – W kapralu wszystko wciąż kipiło. – No więc słuchaj mnie uważnie, Albercie Vailland. Znalazłem cię rannego pod gruzem. Pamięć ci odjęło...

– Że niby jak...

– ...i na Boga, morda w kubeł, jeśli ci życie miłe! – Roger przypadł do niego i zacisnął zęby. – Ni słowem się zdradź, bo od razu znajdą, żeś nie z bretońskiego oddziału. Wtenczas kulę masz jak amen w pacierzu. A i mnie przyniesiesz zgubę. – Nabrał głęboko powietrza. – Zanim pójdziemy... – Odstawił karabin, żeby chwycić Bretończyka za rękę. Skrzywił się z bólu i odwrócił do Vaillanda.

– Nie zostawię go pośrodku drogi...

Kudłacz stanął obok i obydwaj zaciągnęli bezwładne ciało do bramy najbliższej kamienicy. To samo zrobili z martwym buntownikiem.

– Luc... – Vailland westchnął cicho.

Roger spojrział na niego z niemym pytaniem, ale tamten nic już nie powiedział. Stali tak przez chwilę w milczeniu, aż wzrok przyzwyczał się do ciemności. Głębiej, we wnętrzu bramy, dostrzegli wysoki stos szarych kamiennych figur.

Kiedy dopadł ich potworny fetor, uświadomili sobie, z czym przyszło im się mierzyć. Powykręcane ludzkie ciała pokryte pyłem i tynkiem leżały jak przetrącone antyczne posągi. Jak gipsowe odlewy ofiar Wezuwiusza.

– Bóg nas za to ukarze – wyszeptał Roger.

– Módl się, żeby oni nam wybaczyli – mruknął Vailland.

I

Paryż, 1900
10 dni do otwarcia wystawy

Szczur, czarny jak mrok dookoła, podniósł głowę i znieruchomiał. Strugi powietrza zmieniły kierunek? Może stężała duszna atmosfera? Jakiś daleki dźwięk – zupełnie obcy w tym miejscu – nerwowy i drażniący niczym wibrowanie skrzydeł olbrzymiego owada, to pojawiał się, to zanikał, odbity dziesiątki razy.

Prędko wrócił do kawałka ziemniaka uwalanego w pyłe. Potem zeżarł resztę rybiej głowy. Robotnicy musieli rozłożyć się z posiłkiem dwa, góra trzy dni temu. Od tego czasu żaden człowiek się tu nie pojawił.

Warkot narastał. Za chwilę pojawił się blask pełzający po wygiętych łukiem murach chodnika. Zza zakrętu wystrzelił promień światła, zaraz potem drugi. Szczur nie czekał dłużej – rzucił się do najbliższej ściany. Nagły błysk uderzył jak wybuch magnezji. Chwila i dymiące truchło spadło na tory.

– *Sacré...!*

Xavier prowadził, kiedy na wprost niego strzeliło gradem iskier. Na krótką chwilę tunel pojaśniał tak mocno, że mógł zobaczyć jego węzowe wnętrza – jak wije się nieregularnie gdzieś daleko. Wychylił się w bok z całą maszyną, ale pomyślał, że zaraz rąbnie w ścianę, jeśli nie będzie się trzymał środka chodnika. Wróciła ciemność, której nie mogła sprostać skromna latarnia przytwierdzona do kierownicy. Dalej podążał na oślep, wspominając drogę z niknącego powidoku.

– Félix, niech cię...! Tory pod napięciem!!!

Tamten sunął za nim na bliźniaczej maszynie. Godzinę temu sam mu tłukł do głowy, czym kończy się porażenie takim prądem.

Kiedy odzyskał wzrok, pchnął kierownicę i puścił więcej nafty. Wzmógł się malaryczny dygot i huk agregatu bijący echem od ścian. Maszyna zaczęła gnać jeszcze prędej.

Honoré musiał być geniuszem, bez wątpienia. Wszystko grało bez zarzutu, tak jak obiecywał. Gdyby jeszcze móc puścić się traktem albo zupełnie swobodnie – plażą, w pełnym słońcu... Przyjdzie czas. Przyjdzie z pewnością!

Xavier wyszczerzył się na tę myśl, a potem chwycił powietrze, które biło go po twarzy, i wrzasnął w euforii. Z tyłu słyszał to samo, Félix darł się wniebogłosy.

Tunel nagle się skończył. Obaj wylecieli na otwartą przestrzeń, a dudniący warkot umilkł jak ucięty nożem. Bastille różniła się od innych stacji, nie skrywała się pod ziemią. Przeciwnie; prowadziła zakolem po kamiennym moście nad kanałem Saint-Martin. Docierało tu światło miasta – jeśli wierzyć gazetom – najjaśniejszego spośród wszystkich nocnych metropolii. Tuż za otwartym peronem uliczne latarnie i jaskrawy księżyc skrzyły się w czarnych wodach kanału.

Xavier pochylił maszynę na bok – zaczęła kreslić łuk wzdłuż podwójnego torowiska. Ale szlak skręcał gwałtowniej, niż zakładał. Siła inercji sypchała go na krawędź peronu. Jeszcze chwila i roztrzaska się o kamienny próg. Runie w dół, do cuchnącej wody.

Pociągnął kierownicę. Zachrobotąły przekładnie – tarcze zwróciły się do przodu. Ledwie zwolnił. To nie wierchowiec, nie zaprze się, nie stanie w miejscu. Przekłęty bezwład...!

Musiał mocniej położyć się na boku. Wtedy poczuł opór, ogniwa chwyciły pionową krawędź peronu. Maszyna oparła się miękko, jak na ściśniętej sprężynie, a potem – kiedy siły rozłożyły się na nowo – została wyrzucona na środek torów.

Wagon wystrzelił zza zakrętu, na wprost Xaviera. Ten odbił w drugą stronę. Podmuch znowu zepchnął go na próg peronu, teraz musiał zmieścić się ponad jednym torem. Przeklinał swoją nieuwagę, miotał się w siodle na prawo i lewo, póki nie wyrównał kursu i skład go nie wyminął.

Ludzie! Tuż przed nim! Coś taszczyli. Serce skoczyło mu do gardła, zdążył tylko wrzasnąć. Usłyszał łoskot i krzyk dopplerowsko wzniesionym falsetem, zanim tamci rozbiegli się na boki. Zaraz potem wleciał do tunelu u samego końca stacji. Ściany na powrót uderzyły warkotem motoru.

Poczuł jak koszula lepi się do ciała. Ręce, które kurczowo ścisnęły kierownicę, dygotały mocniej niż maszyna, którą zgodził się prowadzić.

Obejrzał się, dostrzegł reflektor. Félix podążał za nim. Też wyszedł z tego cało.

To on znalazł gdzieś wiadomość o tej całej aferze. Strajk robotników mocno pokrzyżował plany ratusza. Odwołana inauguracja podziemnej kolei... – jeden wielki skandal. Pewnie stąd myśl, że trafiła się okazja. Ale nie wtajemniczył w pomysł stryja. Musiał wiedzieć, że Honoré Pascal – twardy legalista – za nic nie zgodzi się na taki krok bez gajtów i pozwoleń.

Kiedy wlecieli na pusty peron pod Gare de Lyon, Xavier zwolnił i zostawił miejsce. Zrównali się. Co dalej? Już i tak napytali sobie biedy. Félix wyciągnął rękę przed siebie, w stronę tunelu. Więc nic się nie zmieniło; wyjadą na górę po rampie, przy ostatniej stacji. Tam, gdzie czekały konny wóz i jutowe plandeki.

Félix wysunął się na przód, Xavier ruszył jego śladem.

Młody Pascal mógł całymi dniami dłużyć w wehikułach stryja, za to Xavier miał wyjątkowy talent do panowania nad jego pojazdami. Prowadzenia roweru wyuczył się w jedno popołudnie. Niewiele więcej czasu zajęło mu ujarzmienie motocykla. Któregoś razu Honoré poprosił nawet chłopaka o demonstrację możliwości maszyn przed klientem, który przybył – zdaje się – aż spod Edynburga. Pokaz musiał być udany – dość powiedzieć, że inżynier serdecznie mu dziękował, zaferował nawet pewną sumę. Najszybciej zarobione dwadzieścia franków w jego nastoletnim życiu.

Maszyna opadła gwałtownie, potem podskoczyła. Silnik się zakrzuszył.

Nafta? Niemożliwe! Sam mierzył.

Znowu zjazd i podskok. Było tylko gorzej.

Szaleju się naźarł?

Do tego latarnia zaczęła migotać w rytmie kaszłającego motoru. Oby tylko nie zgaś... Tarcze przestaną się obracać i w jednej chwili całe to żelastwo zwali się na tory. Pociągnął kierownicę. Schylił się i zaczął kombinować przy kurkach. Nie za mało powietrza? A może magneto...?

Potem coś go tknęło. Przeczucie... albo uśmiech losu. Podniósł głowę.

Leciał wprost na ścianę, w rozwidlenie chodnika. Zdał się na instynkt i odbił na lewo.

Co do...?! Jakiś labirynt? Miał być jeden tunel!

Trza nad tym zapanować. Dowlec się do następnej stacji. W końcu Félix też się orientuje i zawróci. To on miał dar wskrzeszania maszyn... ale teraz pognął tak daleko, że nawet światło jego latarni gdzieś się zagubiło.

Pięknie! Wszystko szlag trafi i będzie musiał siedzieć w zupełnej ciemnicy. W jakiejś dziurze, całe metry pod ziemią!

Coś błysnęło. Czerwona smuga przecinała chodnik, gdzieś daleko przed nim. Uchwycił się jej jak ostatniej nadziei i parł dalej, walcząc z niepokorną maszyną.

Fruń! Fruń, ptaszyno!

Błyski latarni niczym fotografie zatrzymywały na moment obrazy, które musiał zapamiętać.

Jeszcze trochę...

Rzucało nim na boki, szarpało w dół i w górę, zupełnie jakby przyszło ujeżdżać dzikie zwierzę. Jeszcze trochę... i żołądek wywróci mu na lewą stronę.

W całym tym szaleństwie spostrzegł, że to nie peron ani żadna stacja. Czerwone światło sączyło się z szerokiego korytarza wybitego w ścianie.

Pociągnął kierownicę, potem wypchnął stopami podpory po obydwu stronach. Zmniejszył obroty. Przycichł szmer ogniw, maszyna ciężko opadła się na tory. Odciał zapłon i silnik zgasł, wstrząsany nerwowym dygotem. Nadeszła cisza, a właściwie szum, który boleśnie gniótł uszy.

Zwlókł się z siodła na zeszywniałych nogach, rozprostował przykurczone mięśnie. Splunął krwią. Nawet nie zauważył, kiedy przygryzł sobie wargę. A potem zaczął się śmiać, aż głos poniósł się echem. Najwyraźniej dzisiejszy zapas szczęścia jeszcze się nie skończył. Należy tylko uleczyć maszynę. Co ci jest, ptaszyno? Możesz zmęczona? Trzeba ci odpocząć?

Poruszył sworzniami, szarpnął za łańcuchy. Wały chyba też nie miały luzów. Stygnący silnik tykał jak zegar, który się rozregulował i chodził coraz wolniej. Jeszcze przez chwilę jarzył się wiśniowym blaskiem. Honoré zawsze powtarzał, żeby nie pchać tam palców i za żadne skarby nie ruszać ogniw, kiedy pracowały. Boże, jak ten człowiek pomieścił wszystko na motocyklowej ramie?

Podniósł się i rozejrzał wzdłuż tunelu. Cisza. Niczego nie widział ani z jednej, ani z drugiej strony.

Zerknął przez ramię. Karminowa poświata drażniła hipnotyczną barwą. Czy to przestroga? Ostrzeżenie? Wabiła jak syreni śpiew uwodził marynarzy. Może gdyby Félix tu był...? Może gdyby miał go kto powstrzymać...?

Po całym tym przeciskaniu się przez mroczne korytarze teraz stanął pośrodku wysokiej rotundy wyłożonej cegłą. Światło sączyło się z lamp zamkniętych w drutowanych klatkach wiszących na ścianie. Wąskie, kręcone schody prowadziły na galerię, która otaczała całe wnętrze żeliwną koroną. Bluszcze przewodów pięły się w górę, po murze – od wielkich stalowych szaf z martwymi cyferblatami, aż do pułapu, z którego zwisały stalowe łańcuchy. Podzwaniały perliście, kiedy tylko rozbijały je delikatny podmuch ciągnący od wejścia. Okrągłą salę zamykała kopuła zwieńczona latarnią. Takie latarnie na szczytach katedr sięgały wysoko ponad dachy – ta tutaj pewnie ledwo wystawała nad poziom ulicy. Teraz sączyła się z niej szarość wstającego świtu, spadały strugi kropli, które zlatywały metry w dół i rozbijały się tuż przy stopach Xaviera.

Pochylił kark. Pozwolił wodzie ściekać po włosach i szyi. Potem zamknął oczy i podniósł głowę. Przyjemny chłód wypierał nerwową gorączkę. Jak letni deszcz, który przychodzi po upalnym dniu. Błoga cisza. I spokój...

Nie zwrócił uwagi na drobny ruch. Cień, który nadciągał powoli gdzieś od wejścia. Zorientował się, kiedy dobiegł go cichy szelest odbity od ściany. Spał się, ale nie zrobił kroku. Zwrócił oczy tam, gdzie światło załamało się inaczej; gdzieś na krawędzi widzenia.

– Tyś co za jeden?!

Dawniej, w innym życiu, raz czy dwa zdarzyło się, że ktoś go nakrył, kiedy gmerał przy zamku albo jakiej kłódce. Udawał wtedy głupka, wszystkiego się wypierał, a kiedy znalazł okazję – uciekał, nie patrząc za siebie.

Dwóch roślących typów broniło wyjścia z sali. Mieli na sobie filcowe czapki, spodnie i surduty bez dystynkcji, jedynie z rzędem błyszczących guzików. W czerwonym świetle Xavier nie mógł rozpoznać prawdziwych kolorów. Przywodzili na myśl członków jakiejś formacji, choć z pewnością nie byli to policjanci, żandarmi czy nawet strażacy. Za pas mieli zatknięte drewniane pałki – gdyby nie uniformy, można by pomyśleć, że to zwykłe zbiry.

Co to za ludzie? Dozór kolei? Chłopak liczył, że skończy się na słowach. Ot, usłyszy coś przykrego i sprawa rozejdzie się po kościach. Może nie będzie im się chciało ciągnąć go do prefektury?

Tamci chwycili za obuchy. Więc to nie czas na rozmowy...

Grubszy został na miejscu. Ten drugi, z wyjątkowo zakazaną mordą, ruszył i zamachnął się łagą. Xavier zrobił unik i rzucił się w stronę schodów. Gdyby miał choć kij albo kawał deski...

Pognał na galerię. Pałka uderzyła głośno w poręcz, miejsce, gdzie przed chwilą trzymał rękę. Skakał po dwa, trzy stopnie, aż dotarł na górę. Potem się obejrzał.

Strażnik szedł jego śladem, ale się nie spieszył. Stąpał głośno po żeliwnych stopniach. Metaliczny stukot podkutych butów wybijał rytm niczym uderzenia wielkiego metronomu.

Już wiedział, czemu tamten zwlekał. Galeria nie była pierścieniem, kończyła się ślepo. Droga bez powrotu.

Kiedy ten z krzywą głową dotarł na szczyt, do stukotu butów dołączyło dźwięczne bębnienie – pozwalał pałce uderzać o pręty balustrady. Bydlak musiał mieć z tego przyjemność, upajał się chwilą.

Z latarni nad kopułą rozlało się światło. Jutrzenka... Nagłe olśnienie!

Xavier jednym ruchem przeskoczył barierkę i stanął na skraju galerii. Dwa, może trzy metry do łańcuchów. Drugie tyle na dół.

Tamten już wiedział, na co się zanosí. Puścił się biegiem.

Teraz!

Chłopak wybił się i wyciągnął ręce. Palce chwyciły śliskie ogniwa i przestał zsuwać się dopiero wtedy, gdy oplótł łańcuchy nogami.

Typ na galerii rzucił przekleństwem, a później obuchem. Xavier się uchylił i krzyknął coś równie plugawego. Tamten wściekle szarpał balustradą, ale nie był chętny, żeby iść w ślady chłopaka. Próbował się wychylać, sięgać łańcuchów – nic z tego.

A Xavier wspinał się cierpliwie. Kawałek po kawałku, w stronę brzasku, do świetlików w latarni przesłoniętych żaluzją. Wtedy poczuł szarpnięcie. Spojrzał w dół. Drugi strażnik, ten gruby, stał tam, gdzie wcześniej, zadzierając głowę. Gapił się z rozdziawioną gębą.

Znów szarpnięcie. Coś przeważało, Xavier naruszył kruchą równowagę. Zsuwał się, potem spadł, choć z całej siły trzymał łańcuch. Wyrznął o kamienną podłogę i przetoczył się na bok. Kiedy ustał łoskot, gruby się zbudził i ruszył z uniesioną łagą.

Chłopak przetoczył się w drugą stronę i przysiadł – obuch grzmotnął o ziemię. Chwycił za łańcuch i mocno pociągnął, nim tamten z powrotem

zdążył podnieść rękę. Gruby zachwiał się, ale nie upadł. Dopiero kiedy Xavier z całej siły kopnął – runął na podłogę. Przypominał żuka, którego ktoś przewrócił na pancierz. Machał niezgrabnie rękoma, próbował się podnieść, ale to musiało być ponad jego siły. Ten z krzywą gębą, który wciąż stał na galerii, rzucił się do schodów. Xavier zebrał się z podłogi i pognął do wyjścia.

Motodisque stał tam, gdzie go zostawił. Agregat nie zdążył całkiem ostygnąć.

Wskoczył na siodło, odłączył sprzężanie i nadepnął korby. Poczul drobny opór, a potem obydwie tarcze zaczęły się obracać.

– Ruszaj, ptaszyno! Dalej! – Zwolnił manetkę. Silnik zastukał. Potem zakrzuszył się i zgasł. – Ruszaj, na Boga!!! – Stanął na korbach. Powtórzył całą operację, tylko jeszcze szybciej.

Agregat zaskoczył.

– Leć! Leć!!! – Szarpnął przepustnicą. Kiedy motodisque się podniósł, pchnął kierownicę i zaczął przyspieszać.

Coś twardego walnęło go tuż pod szyją z taką siłą, że wyleciał z siodła i stoczył się na ziemię. Nie mógł złapać tchu, dusił się jak ryba rzucona na brzeg. Usłyszał jeszcze, jak maszyna uderza o ścianę chodnika, a potem przestał widzieć i słyszeć.

Nabrał powietrza. Poczul, jak jego nogi wloką się po ziemi, swobodnie uderzając w podkłady. Trzymali go pod ręce. Kiedy zaczął się opierać – postawili do pionu.

– Takiś kogut, he? – Ten z krzywą gębą chwycił Xaviera za brodę i obrócił do siebie. Gruby trzymał się z tyłu, niósł naftową lampę. Bez niej utonęliby w mroku. Musieli zabrać go daleko od rotundy.

– Jestem kadetem... – wybełkotał Xavier.

– Co mówi? – Krzywa gęba obrócił głowę, żeby lepiej usłyszeć.

– ...kadetem wojsk Republiki! – powtórzył głośnie Xavier.

– Kadetem, powiadasz... – Tamten uniósł brwi w udawanym zdziwieniu. Cofnął się o krok, jakby chciał ocenić, czy to może być prawda. Potem dzielił chłopaka w żołądek, aż ten zgiął się wpół. Znowu chwycił

go za kamizelkę i wyprostował. – Obaczmy, kadecie, co ci los wysmaży! – syknął przez zęby, a potem pchnął chłopaka.

Xavierowi błysnęło w głowie, co tamten musiał mieć na myśli. Przywołał obraz tunelu – ściany, torowisko, trzecia szyna z prądem...

Cofał się, starając utrzymać równowagę, ale zahaczył o coś stopą i runął na plecy. Wyrznął karkiem o żwir, aż nakrył się nogami.

Żadnych błysków, żadnych iskier.

Słaby snop z latarni natychmiast zaczął myszkować jego śladem. Bandzior, który go pchnął, ruszył do przodu. Xavier, z kolanami pod brodą, wyprężył się i z całych siły wcisnął mu w podbrzusze obydwa kamasze. Tamten zatoczył się i wpadł na towarzysza. Gruby zwałił się na ziemię razem z lampą.

Buchnęły płomienie.

Chłopak skoczył na nogi i puścił się chwiejnym biegiem w przeciwnym kierunku, byle zniknąć im z oczu. Potykał się w ciemnościach, ale wstawał i ruszał dalej.

Po jakimś czasie odważył się odwrócić. Światło płonącej nafty pełgało na błyszczących szynach, w dali na ścianie tunelu tańczyły dzikie cienie. Zdawało się, że nikt nie ruszył w pogoń.

Szedł, zlany potem, już w zupełnym mroku. Czuł, jak palą go płuca, jak w głowie rośnie zamęt.

Gdzie jesteś, Félix?

Stracił orientację. Wyciągnął ręce i chwiejnie doszedł do wygiętej ściany. Brnął dalej po omacku, powłócząc nogami, nim spostrzegł w oddali jasny punkt. Uniósł ręce i próbował krzyknąć, ale zaniósł się tylko spazmatycznym kaszlem.

Z przeciwka odpowiedział krótki sygnał.

Stanął w świetle latarni drezyny i zmrużył oczy. Na tle jasnego kręgu zagrały niewyraźne cienie. Kiedy się zbliżyły, rozpoznał mundury: policjant, kolejarz... I jeszcze ktoś.

– Xavier, gdzieś ty się podziewał?!

Drobinki kurzu podrywały się w górę, kiedy wypuszczali długo wstrzymane powietrze. Zza grubych drzwi, jak przez watę, dobiegały stłumione rozmowy – bez nich cisza byłaby absolutna. Można by pomyśleć, że czas się zatrzymał, a oni unoszą się tak od wieków, zastygli w bursztynowym świetle zalewającym gabinet.

Stali wyprostowani jak struny, obaj w galowych mundurach. Nie śmieli spojrzeć w oczy człowiekowi, który siedział naprzeciwko.

Komendant patrzył na ich spocone twarze, jakby chciał sprawdzić, który pierwszy nie wytrzyma: mrugnie albo spuści wzrok. Zwykle opanowany i oszczędny w słowach, miał wybuchy irytacji, kiedy rugał ostrym słowem co mniej lotnych kadetów albo członków kadry oficerskiej wysłanych tu przez wujów i pociotków ze sztabu generalnego. To oznaczało, że jedni lub drudzy musieli przekroczyć Rubikon głupoty, której Gustave Roger nie był w stanie dłużej znosić.

– Trzy miesiące... – Westchnął i przetarł zamknięte powieki. Siedział za ciężkim biurkiem zasłanym papierami, wsparty brodą na dłoniach złożonych jak do modlitwy.

W wyobraźni Xaviera zaczęły majaczyć przykre konsekwencje – karny dyżur w stajni, czyszczenie latryny...

– Trzy miesiące do promocji – powtórzył komendant. – Jak to możliwe, panowie, że marnujecie lata wyrzeczeń?!

Xavier wiedział, że to żadna zachęta, nikt nie czekał odpowiedzi. To nie miejsce do dyskusji, tu się składało raporty, dostawało rozkazy. Albo przyjmowało reprimendę w milczeniu, z godnością. Więc milczał dalej, podobnie jak Félix.

– Mam tu zgłoszenie komisarza policji! Mam skargę zarządu kolei podziemnej! – Wskazał pisma leżące na biurku, każde opatrzone okrągłą pieczęcią. – Ucierpiało dwóch Bogu ducha winnych ludzi! Jeden – zerknął w papiery – skończył ze zmiądzoną stopą. Skarzy szkołę o zasądzenie grzywny. Z drugim jeszcze gorzej... – Sięgnął po raport.

– Niejaki Morel... ojciec dziewięciorgu dzieciom... – Podniósł na nich zmęczony wzrok, a potem dodał ciszej: – Módlcie się, żeby wybudził się z komy, bo obydwaj skończycie w kajdanach.

Xavier przełknął ślinę. Do tej pory wierzył, że tamci ludzie, których rozgonili na torach, wyszli z tego tylko potłuczeni. Ot, najedli się strachu – i to wszystko.

– Żadna z tych szacownych instytucji nie była w stanie potwierdzić pańskich słów, Lambert. – Roger kartkował papiery. – Nie ma pałkarzy, nie ma lochów... Nic! Chcę wierzyć, żeś tam dostał omamów, bo inaczej gotowym oskarżyć cię o kłamstwo. Kłamstwo niegodne kadeta! – Wziął głęboki oddech. – Liczyłem, że któregoś dnia będą z was dobrzy oficerowie. Dlaczego każecie mi żałować, że przyjąłem was pod dach? – Wstał. – Macie coś na swoją obronę?

Nikt się nie odezwał.

– Żaden z was nie ma nic do powiedzenia?

– Panie komendancie, kadet Pascal jest winny wypadkom, które zaszły tej nocy! – Félix wystąpił naprzód. Chciał wypaść stanowczo, ale w głosie słychać było fałsz i drżenie.

– Bzdura! – wypalił Xavier i natychmiast się poprawił: – Panie komendancie. – Zrobił krok i wypiął pierś. – To był wypadek... Z całym szacunkiem, kadet Pascal...

– Dość! – Roger uciął i zamknął oczy. Znowu zapadła cisza. – Znacnie mnie, doceniam lojalność... Wobec armii! – Uderzył otwartą dłonią w blat. – Wobec armii, Republiki i przełożonych! Nie w obliczu występku! – Założył ręce z tyłu, obszedł gabinet i stanął za ich plecami. – Zawiedliście, panowie. – Jego głos znowu był cichy, może wybrzmiewała w nim nawet odrobina żalu. – Na wasze nieszczęście sprawa wyszła poza mury. Splamiliście dobre imię Akademii. Wiedzie, co to oznacza.

Xavier zmarszczył brwi.

– Możecie się tylko cieszyć, że nie doczekaliście promocji. W przeciwnym razie czekałaby was degradacja na oczach całej szkoły. A tak? Znikniecie, jakby nigdy was tu nie było. – Westchnął, po czym wrócił do oficjalnego tonu: – Zdać rysztunek dyżurnemu. Odmaszerować!

Zatem... to wszystko?

Obaj jednocześnie stuknęli obcasami, obrócili się na pięcie i ruszyli do wyjścia.

Na drodze Xaviera wciąż stał komendant.

– Ty zostajesz.

Xavier stanął, kolejny raz stuknął obcasami i wyprostował się, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się, po czym zamknęły za wychodzącym Félixem.

Roger z powrotem usiadł za biurkiem.

– Tutaj!

Xavier odwrócił się i stanął przepisowo w tym samym miejscu, co poprzednio. Tymczasem komendant wyciągnął z szuflady biurka teczkę związaną tasiemkami. Na twardej oprawie ktoś zamasyżył wykaligrafował „Xavier Lambert”. Oficer zaczął przeglądać papiery ze środka, aż w końcu, nie podnosząc wzroku, zapytał:

– Powiesz, co zaszło?

– To, co zeznałem, panie komendancie.

– Jesteś tu sam, nikt cię nie osądzi. Nie uległeś złudzeniom?

Xavier zacisnął zęby. Zacisnąć pięści już się nie odważył.

– Nie cofam słowa.

– Więc jak tam trafiłeś? Czym tak wystraszyłeś tych nieszczęsnych ludzi? – Wskazał na raport. – Chcę zrozumieć.

Xavier pamiętał o złożonej obietnicy. Honoré mu ufał. Zgodził się dopuścić do tajemnic, pod warunkiem, że wszystko zachowa dla siebie. Chłopak nie wiedział, czy chodziło o patenty, czy wszystkie te klauzule i kary, którymi obwarowano rządowe zlecenie. Gdyby coś wypłynęło, Honoré byłby skończony. Razem z Félixem zostaliby z niczym.

Jeszcze niedawno – rok, może dwa temu – nie miałby oporów, żeby zrzucić winę na kogoś innego. Byle uciec przed karą. Teraz nie potrafił już się na to zdobyć.

– Nie mogę powiedzieć.

– Wierzę, że masz dobry powód. – Roger pokręcił głową. – Uparty jak ojciec...

Chłopak się zjeżył – jak za każdym razem, kiedy ktoś mówił o tamtym człowieku. W zaułkach pamięci tliło się ledwie kilka obrazów, nie pamiętał twarzy. Nie miał nawet pewności, czy to jego wspomnienia. Czasem myślał, że te historie zrodziły się w głowie tylko przez opowieści, które snuła matka. Dawniej sprowadzały jedynie smutek i tęsknotę. Z czasem smutek zamienił się w gniew, a ten wreszcie zepchnął strzępy pamięci w niebyt zapomnienia

– Nie miałem okazji powiedzieć ci tego wcześniej, Lambert... A pewnie więcej okazji mieć nie będę. Wierz lub nie, ale twój los nie był mu obojętny.

Co mnie obchodzi człowiek, którego nawet dobrze nie pamiętam?! Zniknął, odszedł! Skazał rodzinę na życie w nędzy! Co tu jeszcze roztrząsać?

– Musisz wiedzieć, że zadbał, byś tu trafił i zdobył żołnierskie szlify. Matka nie mówiła? – Roger zauważył zaskoczenie na twarzy chłopaka.

– Życie czasem stawia przed trudnym wyborem. I nie zostawia dobrego rozwiązania.

Wciąż mówił o ojcu? Czy o swojej decyzji? Nie musiał się przed nim tłumaczyć. A może komendant próbował, na swój sposób, jakos go zrozumieć?

– Żałuję, żeś wdepnął w tę awanturę, że idziesz w zaparte. A ja jestem zmuszony zrobić to, co zrobić muszę... Masz dokąd wracać? Matka żyje?

– Nie... – wyduśił chłopak.

Roger opadł na oparcie krzesła i spojrzał za okno. Myślał nad czymś w skupieniu, potem zawiązał teczkę i schował ją z powrotem do szuflady. Wyjął czystą kartkę, w ciszy skreślił parę słów, a potem włożył papier do koperty z insygniami Akademii.

– Zabierz list i idź pod ten adres. Oddaj człowiekowi, którego tam znajdziesz. I tylko jemu! Tyle mogę zrobić w imię starej przyjaźni.

II

– Nie zmienisz zdania?

Félix pomachał za dorożką. W dobrze skrojonej marynarce i kanotierze – płaskim, słomkowym kapeluszu – pewnie miałby wstęp do każdej eleganckiej kawiarni przy Champs-Élysées.

Xavier pokręcił głową.

Sam niewiele różnił się od zwykłego ulicznika – płócienne spodnie, popielata koszula, do tego ciemna kamizelka i wytarta marynarka. Spod przekrzywionego kaszketu wystawała krótko ścięta grzywka, do której zdążył się już przyzwyczaić.

– Jak długo się znamy? – Félix położył mu dłoń na ramieniu. Chciał skupić na sobie jego uwagę, ale Xavier patrzył gdzieś na przestrzał stalowym wzrokiem, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

Dwa lata. Zdążyły minąć dwa lata? Pewnie spotkali się gdzieś tu, przed bramą École Militaire, tak jak cała reszta.

– Wybacz, Xavier, to ja wpakowałem nas w tę kabałę. – Kiedy dorożka zatrzymała się przy trotuarze, Félix zapakował do środka skórzaną walizkę.

– Dlatego proszę... przemyśl sprawę.

– Postanowiłem...

– Czego chcesz tam szukać? Nikt nie został, po co wracać? Pamiętasz, kim byłeś?

Pamiętał dobrze. Nieokrzesanie, który patrzył spode łba na wszystko i wszystkich dookoła. Który miał niejedno na sumieniu dzięki bystremu oku i zręcznym palcom. Félix wydawał się być jego przeciwieństwem. Nic nie wskazywało, żeby mogli mieć ze sobą cokolwiek wspólnego. Ale prędko okazało się, że nie było nikogo, kto choćby zbliżył się do ich biegłości w rozkładaniu i składaniu na powrót lebelu – karabinu używanego we francuskiej armii. Wygrywał raz jeden, raz drugi. Bywało, że stawiano zakłady.

– Posłuchaj! Wystawa na dniach. – Félix wyciągnął rękę w stronę olbrzymiej hali ze szkła i żelaza. Galeria Maszyn górowała ponad wszystkim tuż po drugiej stronie alei. – Jedź ze mną! Każda para rąk potrzebna. Stryj wynajął miejsce pod nowe warsztaty... Xavier!

Odpowiedział milczeniem. Jak miał się pokazać Honoré na oczy po tym, co zrobił z jego maszyną? Jak!?

– Do diabła! Nie traktuj tego jak jałmużny!

– Nic nie jesteś mi winien, Félix. Ani ty, ani twój stryj.

– Dobrze więc... Twoja wola. – Félix się poddał. Rozłożył ręce i weschnął ciężko. – Zatem... bywaj przyjacielu. Ale pamiętaj, mam u ciebie dług.

Trzepnęli się w plecy, Félix zapakował się do dorożki i odjechał. Xavier stał jeszcze chwilę, potem zarzucił worek na plecy i ruszył w przeciwną stronę. Mimo że dzień był wyjątkowo słoneczny, nad jego głową wisiła czarna chmura, z której co chwila błyskało i leciały gromy.

Félix... Farciarz miał do czego wracać. Do prawdziwego domu i pasji, którą odziedziczył po ojcu i stryju. W Akademii, wbici w jednakowe mundury, byli sobie równi. Spory załatwiali siłowaniem się na rękę, jeśli inne argumenty nie wchodziły w rachubę. Bywało nawet, że się obili. Ale to było dawno, jeszcze na początku.

Co, jeśli wsiadłby do dorożki? Prędzej czy później wszystko by się zmieniło. Przy pierwszej różnicy zdań, przy pierwszym konflikcie. Czy dałby radę zdobyć się na sprzeciw? Już sama wątpliwość...

Zacisnął zęby.

Dosyć! Nikt nie będzie więcej mówił, co ma robić. Nikt już nie ma nad nim kurateli. Koniec! Jest wolny. Wolny! Przed nikim nie będzie się spowiadać!

Akademia? To tylko epizod. Omyłka. Los sobie z niego zakpił. Przeznaczenie upomniało się o swoje, przejrzało na oczy.

Trzeba wracać. Tam, gdzie go znają. Gdzie szanują!

Otrzeźwił go zgrzyt dzwonka i wiązanka przekleństw jakiegoś cyklisty – Xavier nawet nie zauważył, kiedy wszedł na ruchliwą aleję. Miał już biec za tamtym, zwalić go na ziemię, zdzielić workiem, zwymyślać...

Zamiast tego patrzył tępym wzrokiem na gnąące dorożki, konne omnibusy i automobile. Wibrujący tłum, który przewalał się z miejsca na miejsce. Gdzieś w tym wszystkim słup ogłoszeniowy bił po oczach

barwnymi afiszami. Nimfa o twarzy anioła leciała ku niemu, wyciągając ręce; zdawało się, że szepcze z plakatu słodką obietnicę.

Tu zaczyna się Nowy Wiek

Tak! Właśnie to! Nowy rozdział jak nowy początek.

Na resztę afisza nie zwracał uwagi – „Wystawa w Paryżu” i ceny biletów. Gdzie się nie obrócić, ktoś o tym gadał, kłócił się i pisał. Exposition Universelle nie schodziła ze szpalt, z nagłówków. Mnóstwo pracy, mnóstwo środków, jeden cel – olśnić publiczność, która ściągała tu z całego świata.

Paryż – najwspanialszą metropolią!

Francja – dostatnią potęgą!

Xavier?

Xavier miał to gdzieś...

Przed Galerią Maszyn, przy bramach i rampach stały kolejki konnych wozów załadowanych skrzyniami albo maszynami tak wielkimi, że można było je ukryć jedynie pod woskowanym płótnem. Mijał obojętnie spocynych tragarzy, którzy kursowali tam i z powrotem, równym rzędem, jak robotnice do olbrzymiego mrowiska.

Za halą nad okolicą górował diabelski młyn. Mówiono, że największy na świecie – i za każdym razem, kiedy Xavier zadzierał głowę, był gotów się z tym zgodzić. Same gondole wielkości tramwaju – równo czterdzieści sztuk – mogły pomieścić mieszkańców niedużego miasteczka.

Tuż obok postawiono instalację, może nie aż tak wielką, lecz z pewnością jeszcze bardziej szaloną. Chodziło o tor, po którym gnał mały, dwurzędowy wagonik. Tor zakręcał i wił się, lecz największą atrakcją i tak była pętla. Przez krótką chwilę, przecząc prawom zdrowego rozsądku, czterech śmiałków jechało nogami do góry. Co trzeba mieć w głowie? Jaką pustkę w żołądku, żeby decydować się na coś takiego?

Szedł na wschód przez szeroką aleję Breteuil. Od północy była zamknięta kościołem Inwalidów przykrytym złotą kopułą, pod którą spoczywały prochy pierwszego Bonapartego, zaś od południa – strzelistą wieżą studni artezyjskiej wybudowaną na miejscu starych rzeźni Grenelle. Tutaj królowały młode matki, niańki, guwernantki, a pomiędzy nimi rozbiegana

dzieciarnia – wszystko wymieszane z hałasem krzyków, pisków, głośnych nawoływań sprzedawców zachwalających lukrecjowy napój.

Dawniej takie miejsca były jego upragnionym światem. Zdobywanym kawałek po kawałku, ulica za ulicą. Jak nowe, nieodkryte łądy zamieszkałe przez inny rodzaj ludzi. Sytych, dobrze ubranych. Pięknych. Wyglądających na szczęśliwych.

Świat, którego Xavier był ciekaw, którego pożądał. Kiedyś chciał być jego częścią.

Teraz, gdy znów zanurzył się w tym zgiełku, czuł, że coś utracił. Surowa dyscyplina Akademii amputowała jakąś część tej pierwotnej radości. Xavier nawet nie wiedział, jak nazwać ten żywiol.

Może taka kolej rzeczy? Poszedł tam szczeniakiem, wracał wytresowanym psem, który nie tknie miski bez rozkazu.

Pośrodku zielonej promenady znajdował się niewielki staw, na którym dzieci z dobrych domów i w marynarskich ubrankach wypuszczały swoje małe żagłówki. Biedniejsze brzdące zazwyczaj przyglądały się temu z niemą zazdrością, ale teraz wszystkie przepychały się między dorosłych, którzy śledzili osobliwy model unoszony na wodzie.

Trudno było nawet nazwać to statkiem. Wyglądało raczej jak miniaturowy rzeczny monitor. Lub brytfanna. Z obłego grzbietu wyrastały jedynie trzy długie, wąskie druty, do złudzenia przypominające te wystające z drewnianego pudła, przy którym manipulował człowiek stojący pośród tłumu. Stateczek – jak na zawołanie! – swobodnie kręcił ósemki i kółka, choć nie był w żaden sposób uwiązany. Pewno kolejny pokaz szarlatanerii, pomyślany, żeby tylko zwabić ludzi i zarobić na ich ignorancji. Wystawa ścigała do miasta różne indywidua.

Dotarł do Sekwany nabrzeżem Montebello. Z okien wysokich kamienic musiał rozciągać się niezrównany widok na drugą stronę rzeki i nobliwą Notre Dame, która broniła wschodniego końca wyspy la Cité. Chyba tylko dzięki powodzeniu opowieści o losach garbatego dzwonnika uchowała się przed zniszczeniem, ruiną i rozbiórką po ciężkich latach rewolucji, która wycięła w pień arystokrację.

Dawno temu, kiedy Xavier pierwszy raz odważył się przekroczyć rzekę i stanąć oko w oko ze strzelistą płataniną filarów, przyporowych wież i łęków, nie mógł się opędzić od skojarzeń z wielką skolopendrą o setkach odnóży. Śnił czasem, że nocą, kiedy nikt nie widzi, katedra unosi na tych

niebosiężnych nogach swe kamienne cielsko. Stąpa po mieście nad dachami domów. Zagląda w okna purpurą rozety.

Daleko, już na prawym brzegu, szerokie aleje zaczęły ustępować miejsca wąskim uliczkom, zalatującym fetorem łajna i uryny. Równe pierzeje wysokich kamienic zastąpiła coraz bardziej licha zabudowa. Niskie, ledwie parterowe domki potrafiły przytulić się do dwu-, trzykroć wyższych, świecących ponad nimi pustką pobielonej ściany, a częściej krzykliwym anonsem jakiegoś balwierza albo składu win i tabaki. Wszystko poprętykane a to warsztacikiem, a to porośłym zielskim placem, na którym wypasano kozy.

Xavier wracał do świata lepkiej wilgoci, ciemnych izb, w których na potęgę łągło się robactwo, gruzlica i tabuny szczurów. Świata spękanych dłoni i wiecznego zmęczenia.

Minął ciężki wóz piaskarzy zaprzężony w dwa wielkie perszerony. Woda ciurkiem ściekała spomiędzy desek na bruk i dalej, rynsztokiem. Nim wpadła do kanału, mieszała się z juchą, która spływała z jatki otwartej prosto na ulicę. Rzeźnik z czeladnikiem skórowali wołu na oczach rozwrzeszczanej bandy, oblegającej wędrownego sprzedawcę zabawek. Tuż obok obwoźny zbieracz szmat wyklócał się o cenę. Toboły obwiązane szpagatem wrzucił na wózek, który jakimś cudem jeszcze się nie rozpadł, a potem pognął muła i ruszył, przeklinając człowieka sunącego wolno w poprzek drogi. Tamten dźwigał kosz kapuścianych głów, który przygniatał go do ziemi. Staruszek, siwy jak gołąb. Jakoś dowlókł się do trotuaru, a potem przystanął, by odpocząć chwilę koło arlekina, mieszającego chochlą w parującym kotle. Myliłby się ten, kto miałby na myśli postać komicznego błazna. Tak wołano na człowieka, który skupował resztki jedzenia z pańskich stołów i wyszynków, a potem komponował z nich potrawę niczym strój arlekina, pozszywany z różnokolorowych skrawków. Po prostu wrzucił wszystko do jednego gara. Najtańsza ciepła strawa, jaką można było dostać na ulicach Paryża.

Xavier pomyślał, że jeszcze stać go na prawdziwy bulion. Zatrzymał się przy starowince otoczonej kotłami. Wysupłał dziesięć centymów, w zamian dostał miskę makaronu zalanego rosółem. Wciągnął porcję, ale nie zapomniał o doglądaniu worka. Tutaj należało się pilnować. W tej okolicy rzeczy lubiły zmieniać właściciela.

Zachodził w głowę, kogo zastanie. Wdowę Mâcon? Po śmierci męża była zmuszona przeprowadzić się z obszernego apartamentu w Le Marais do dwuizbowego mieszkanca w ich kamienicy. Kiedy oślepla już całkiem, zapytała małego Xaviera, czy nie znalazłby trochę czasu, żeby poczytać na głos gazety, które dotąd jej przynosił. Dopływ świeżych wieści ze świata i odrobina towarzystwa zdawały się ostatnią rzeczą, która trzymała ją przy zdrowych zmysłach. Może poza kanarkami, przypominającymi jej o dawnym życiu.

Chłopak, choć z początku dukał, ledwie składał słowa, zgodził się, bo po każdej takiej wizycie coś mu od wdowy skapnęło – a to jabłko, a to kilka centymów. Pierwsze uczciwe pieniądze, które zdobył, ruszając wyłącznie łepetyną. Pewnego czerwcowego wieczoru zainkasował nawet franka, kiedy – kilka razy z rzędu – musiał czytać doniesienia o zabójstwie prezydenta Republiki, dokonanym ręką jakiegoś Lombardczyka.

Ponoć szło o zemstę za posłanie na szafot sprawców bombowych zamachów w Parlamencie. Ów rok wyjątkowo obfitował w afery i zbrojne wystąpienia. Republika zdawała się drzeć w posadach, za to wdowa – dla odmiany – wyglądała, jakby wstąpiło w nią zupełnie nowe życie. Śmiała się, głośno wygrażała i próbowała wciągnąć do rozmowy chłopaka, który nie miał pojęcia o wielkiej polityce.

Co prawda już w roku jego narodzin spod pióra ministra oświaty, Ferry'ego, wyszła ustawa nakazująca powszechny dostęp do szkół elementarnych, lecz po prawdzie – kto lubił przesiadywać karnie długie godziny na niewygodnym krześle? Słuchać w kółko o powinnościach wobec Republiki, społeczeństwa i rodziny? Gdy w tym samym czasie za oknem grzało słońce i aż korciło, żeby pójść wykapać się w stawie przy bramie Romainville, na rogatkach miasta, albo jeszcze dalej, na północ, w zielonym parku Buttes Chaumont?

Dlatego Xavier często urywał się z Królikiem, żeby poszwendać się po okolicy. Rzucali kamieniami w kaczki albo pluli z wiaduktu na głowy przechodniów, póki ktoś ich stamtąd nie przepędził. Zaglądali na budowy, napychali kabzy nitami. Wynosili klamki, krany, wszelkie żelastwo, które wpadło w ręce.

Skąd Królik? Otóż pan Remy, młody nauczyciel literatury, postanowił któregoś razu sięgnąć po lekturę, która – tak mu się zdawało – skłoni do czytania, rozbudzi wyobraźnię. Chyba nie przemyślał sprawy. Wszyscy

ganiał później z badyłami, okładali się po głowach, wrzeszczeli jeden przez drugiego, który to D'Artagnan.

Zdarzyło się, że Królik – który nie był jeszcze wtedy Królikiem, a zwyczajnym Marcelem – nieszczęśliwie dźgnął zaostrzonym kijem innego chłopaka, przedziurawił na wylot policzek i wybił trzonowca. Pech chciał, że ów chłopak miał starszego brata, gdy tymczasem Marcel jedynie trzy siostry. Starsze, bo starsze, ale jednak siostry. Nie za długo przyszło mu się cieszyć siekaczami. Stąd przezwisko. Przewrotne – od razu się przyjęło.

Królik, Oczko, Pyszcza... Jakie powitanie mu zgotują? Oszczędać drwin? O nie, z pewnością nie oni!

Da im parę dni... Potem ktoś dostanie w zęby i wszystko będzie po staremu.

„Nie wracaj nigdy więcej!” – to były słowa matki, zanim zatrzasnęła za nim drzwi. Brzmiały jak przekleństwo. Miała go zupełnie dosyć? Ciąglego włóczenia się po mieście? Znoszenia fantów... Nawet bała się zapytać, jak trafiły w jego ręce.

Chorowała już wcześniej. Kiedy Xavier ruszył z domu, suchoty uderzyły z nową mocą, jakby jej kruchy organizm zdecydował, że może się już poddać. Kazała sąsiadom sprzedać wszystko, co po niej zostanie i wysłać na adres: aleja de la Motte Picquet, Koszary Akademii, kadet Xavier Lambert.

Tak się dowiedział, że odeszła. Dopiero wtedy zaczęło mu świtać, o co naprawdę jej chodziło. Podejrzewał nawet, że taki miała zamiar – żeby nic i nikt nie był w stanie skłonić go do powrotu. Żeby nie musiał wracać do Belleville – dzielnicy złodziei, biedoty i braku nadziei.

Znowu ją zawiódł...

Przy skrzyżowaniu z Saint-Maur cały róg ulicy ogrodzono lichym płotem, który skrywał składy przeznaczone do rozbiórki. Chłopak zauważył człowieka, który zupełnie tu nie pasował – jasny garnitur, słomkowy kapelusz, laska i gazeta pod pachą.

Chyba przyszedł szukać guza – pomyślał z politowaniem. A potem spostrzegł tamtych dwóch. Szli mu naprzeciw, niespiesznie, strzelając oczami na boki. Choć wyższy z nich nosił melonik i wymięty garnitur, a na szyi luźno zwisający szal, z daleka było widać, co to za jedni.

Melon szturchnął kompana w bok. Kamizelka i kaszkiet zaciągnięty na oczy. Wokół szyi apaszka – kolorowa chusta, które upodobali sobie bandyci siejący postrach w mieście. Mówiono o nich „apasze”, od nazwy

indiańskiego plemienia, znanego z wyjątkowych okrucieństw. Nawet za dnia, i to w porządnej dzielnicy, można było dostać tęgie bity i zostać okradzionym. Dlatego laska czy parasol nie były tylko oznaką statusu – służyły do obrony.

Mężczyzna w słomkowym kapeluszu nie wydawał się wprawiony w ulicznych potyczkach. Szczupły, wręcz tyczkowaty, beztrudnie rozglądał się dookoła, jakby znalazł się w tym miejscu przez przypadek.

Ale Xavier dobrze wiedział, jak złudne mogą być pozory. Przekonał się o tym boleśnie pierwszego dnia, w starciu ze szkolnym nauczycielem boksu. Sam zgłosił się do walki. Chciał pokazać tym wymoczkom z dobrych domów, jak bije prawdziwy mężczyzna. Maestro Chevalier, raczej drobny i żylasty, srogo upokorzył go przy wszystkich. Nim zadał pierwszy i jedyny cios, który zwałił Xaviera z nóg, tańczył zwinnie wokół, tak że chłopak nie był w stanie nawet go dosięgnąć.

Dwóch uliczników minęło człowieka w słomkowym kapeluszu. Ten w meloniku nawet się uklonił. Kiedy znaleźli się za jego plecami, Melon zarzucił szal na szyję ofiary, odwrócił plecami, pociągnął i uwiesił mężczyznę na swoim pochylonym grzbiecie. Tamten chwycił się za gardło, zaczął charczeć, wywracać oczami. Drugi z apaszów zabrał się do przetrząsania jego marynarki. Pulares, zegarek na dewizce i zdobna tabakiera zmieniły właściciela.

Xavier szedł dalej, nie spuszczał z nich oczu. Gdy się z nimi zrównał, schylił się i podniósł upuszczoną laskę. Kiedy się prostował, wyprowadził cios w splot słoneczny Melonika, który z miejsca puścił szalik. Uwolniony przechodzień zgiął się wpół i zaniósł kaszlem, jakby miał za chwilę wypluć płuca.

Nim drugi z apaszów zorientował się, w czym rzecz, Xavier dźgnął go końcem laski w brzuch. Potem wykręcił i poprawił kulą z kości słoniowej w podbródek. Tamten zachwiał się i wyrzwał głową o trotuar. Oprzytomniał, kiedy dotarł do nich głośny pisk – policyjny gwizdek. Skoczył na nogi, przygarbiony, z zaciśniętymi piąchami i wykrzywioną gębą. Z przegryzionej wargi sączyła się krew. Zmierzył Xaviera nienawistnym spojrzeniem, lecz chyba musiał uznać, że nie warto wdawać się w bójkę, skoro zebrał fanty, a policja jest tuż za rogiem. Przejechał kciukiem po szyi. Dał do zrozumienia, jak traktuje ludzi, którzy wchodzą mu w paradę.

– Nie pokazuj się tu, frajerze... – wyseplenił. Pod wargą ziała szczyrba po siekaczach.

– Królik...? – Xavier w nalanej twarzy nie rozpoznał dawnego zawadiaki. Tamten się zawahał i bardziej zmrużył oczy.

– Nie ma cię tu! – warknął w końcu i pociągnął za marynarkę skulonego kompana. Potem obaj zniknęli w bramie naprzeciwko.

Tymczasem napadnięty rozcierał szyję i mrugał zapamiętałe, jak gdyby dopiero co odzyskał wzrok. Xavier wyciągnął rękę, żeby zwrócić łaskę. Ale tamten musiał źle odczytać zamiary, bo skulił się i zaczął drzeć się wniebogłosey:

– Rozbój! Granda!

Płot.

Xavier przerzucił worek, a zaraz potem wspiął się na nieheblowane deski i zeskoczył z drugiej strony.

– *Connard!* – Rąbnął pięścią w krzywy słup, aż sypnęło próchnem.

Siedział przygarbiony na niskim poddaszu jakiejś szopy. Przelęknięte gołębie, które musiały rezydować tu od dłuższego czasu, wyfrunęły oknem, a w zasadzie dziurą po oknie. Zostawiły po sobie gruby kożuch odchodów, pokrywający wysłużone deski. Najwyraźniej od dawna nikt tu nie zaglądał i Xavier liczył, że tak będzie i tej nocy.

Jakiś czas kluczył, by zmylić tropy. I nie chodziło wcale o policję. Ta zwykle i tak przybywała na miejsce za późno. W przypadkach tak powszechnych, jak rabunek policjant co najwyżej udzielał dobrej rady, żeby trzymać się z daleka od podejrzanych okolic. Swego czasu poszła fama, jakoby oprychów w Paryżu było znacznie więcej niż funkcjonariuszy we wszystkich dzielnicach. Takie wieści rodziły tylko ferment, spędzały sen z powiek ludzi w ratuszu i prefekturze.

Xavier przypomniał sobie o tych dwóch w tunelach. Czemu ktoś miałby wbijać ich w mundury? Werbować do pracy? Toż to zwykle zbiry – jak Królik i ten drugi, w szalu i melonie.

Przeklęty Królik!

Ale tak naprawdę był zły na siebie.

Zacisnął zęby. Wojsko nadzwyczaj sprawnie wsączyło mu do głowy jad idei, która tutaj zdawała się na nic. Nie wiedzieć kiedy z ulicznika stworzyli hybrydę. Na wpół psa, wpół lisa. Kaleką namiastkę obywatela. Łobuza niezdolnego przejść obojętnie obok ludzkiej krzywdy.

Czy kto pytał o zgodę?!

A potem wypluli! Kazali wynosić! I co teraz?! Co dalej?!

Słup znowu zatrzęsł się od uderzenia.

Xavier już wiedział, że nie dotrze do swojej kamienicy. Nic tu po nim, nikt go tu nie czeka. Postanowił zostać na strychu do rana. Awanturnicy będą odsypiać, reszta ruszy do swoich zajęć. Wmiesza się w tłum.

Tymczasem zapadł zmierzch i przyszedł ziąb. Zaczęły zlatywać gołębie. Chyba przestały się bać, bo nawet gdy próbował je przegonić, robiły rwestes, a i tak zostawały w środku. Jeszcze ściągną tu kogo...

Pamiętał czasy, kiedy w domu nie zostawało już nic do jedzenia. Matka zawsze trzymała woreczek okruszków chleba zgarniętych ze stołu. Sąsiad, na którego wołali François – od świętego Franciszka, bo nikt tak naprawdę nie wiedział, jak miał na imię – nauczył go sztuki łapania gołębi. Całą tajemnicę można było streścić w jednym słowie – cierpliwość. Należało wysypać okruszki na dłoń i czekać, aż ptak sam przyfrunie. A potem go ułapić. To wcale nie było takie proste – stać nieruchomo i patrzeć, jak gołąb przechadza się tam i z powrotem, kiedy kiszki skręcało z głodu.

Z początku brakło mu tej cierpliwości – ptaki uciekały, nawet jeśli udawało się je zwabić. Potrzebna była jeszcze kocia zwinność, żeby po tak długim czekaniu wykonać jeden zdecydowany ruch. Po pewnym czasie nabrał wprawy

Matka dusiła gołębie w wielkim garze z pieczoną cebulą, a Xavier pękał z dumy. Czuł się potrzebny jak głowa rodziny, choć wtedy ledwie sięgał jej do ramion. Pamiętał – cały pokój, klita, w której się gnieździli, nabiegła parą z gęstego rosołu. Samym zapachem dało się nasycić. Pamiętał ten dzień. Nigdy potem nie był tak szczęśliwy.

Ostrożnie podniósł rękę, potem zastygł na długo. Zimno przenikało z dworu. Pozwolił ptakom sięść na odwróconej dłoni.

Z półsnu przebudził go błysk. Zaraz potem dołączył niski grzmot, który zatrzęsł budą i rozbudził ptaki. Zerwały się wszystkie – zaczęły krążyć i trzepotać skrzydłami jak oszalałe, wyrzucając w powietrze pierze, kurz i nieczystości.

Wyrzał przez okno. Rudera, w której się schował, zajmowała kawałek zapuszczonego kwatera ulic. Miał dobry widok na całą okolicę.

Ponad krzywymi dachami kamienic szedł w górę olbrzymi grzyb ognia. Płomienny obłok kłębił się, jak gdyby chciał zwinąć się do środka. Po chwili zniknął na tle ciemnego nieba. Została jedynie pomarańczowa łuna pożaru gdzieś na dole.

Dziękuję za poświęcony czas! Jeśli zainteresował Cię początek tej historii, całą powieść znajdziesz w tym miejscu:

www.ogniwovanhoorta.com

Przypisy

¹ Chassepot Mle 1866 – pierwszy francuski karabin odtyłcowy (ładowany od tyłu), powszechnie używany przez piechotę w trakcie wojny francusko-pruskiej (1870–71).

² Karol Ludwik Napoleon Bonaparte, prezydent Drugiej Republiki, w 1852 roku ogłosił się cesarzem Francuzów i przyjął imię Napoleon III.

³ Jarosław Dąbrowski, jeden z dowódców Gwardii Narodowej, od 5 maja 1871 roku był naczelnym wodzem Komuny Paryskiej.

⁴ Vaillant (fr.) – dzielny.